

1

Tylko tu było bezpiecznie. Wisznia rozejrzała się po tak dobrze znanej sobie okolicy. Niewysokie i łagodne wzgórza rozcinały gdzieniegdzie głębokie jary. Jednym z nich biegła ścieżka od osady aż do rzeki. Nie widać jej było z daleka, bo otulał ją zarośnięty dzikim bzem wąwóz. Nawet teraz, kiedy zima ogołociła krzewy z liści, trudno było dostrzec idącego drożyną człowieka. Na szczycie skarpy stał ostrów otoczony palisadą dębowych pni. O tej porze roku siedziała tam tylko warta pilnie wypatrująca, co dzieje się za rzeką.

Bo na drugim brzegu żyli obcy, straszni ludzie zrośnięci z końmi, pokryci gęstą szczecina, o oczach zwężonych złem i płaskich mordach. Rzadko zapuszczali się aż tu. Wisznia nigdy w życiu ich nie widziała. Opowiadano sobie tylko

o nich w numach¹⁰ szarą godziną, siedząc przy ogniu.

Od północy ciągnęła się puszcza. Nikt o zdrowych zmysłach nie wchodził do niej dalej niż na odległość ludzkiego głosu. Była błogosławieństwem wioski i jej grozą. Dawała drewno na opał i budowę, grzyby, jagody i zwierzynę, ale to w niej żyły watahy wilków, potężne niedźwiedzie, podstępne rysie. W niej znajdowały schronienie niezliczone demony, biesy, wilkołaki, w niej mieszkali Leszy ze swoją Leśną Babą¹¹, a spotkać każdego z nich to strach.

Więc tylko tu było bezpiecznie, na tym kawałku ziemi odgrodzonym od świata z jednej strony łukiem potężnej rzeki, a z drugiej – borem. Teraz wszystko pokrył głęboki śnieg. W zaspach tonęły też na wpół zagłębione w ziemi chaty. Dymy unosiły się z otworów pod dachami i kładły szarym pyłem na skrzącej bieli.

Wisznia pochyliła się, założyła na barki kormysło¹² i doczepiła do niego dwa drewniane kubły. Była szczupłą, ale silną. Ostrożnie, śliską, wydeptaną w śniegu ścieżką zeszła wózem w dół aż do rzeki. Rozejrzała się za kamienną siekierą, którą kobiety zostawiały wśród krzewów. Zatarła ręce,

¹⁰ Numy – kurne chaty pozbawione okien.

¹¹ Leszy, Leśna Baba – słowiańskie demony lasu.

¹² Pałak do noszenia wiader z wodą.

wyprostowała się i już miała złapać za nią, wleźć na łód i wybić przerębę, kiedy zauważyła ruch na drugim brzegu. Stał tam jeździec. Obcy! Skórzany kaftan miał przepasany rzemieniami podtrzymującymi łuk. Wydawało się dziewczynie, że spod okrągłej futrzanej czapki patrzyły skośne oczy, a jego morda była płaska. Czarna, chyba wilcza opończa powiewała mu na ramionach. Wisznia nie widziała go dobrze. Rzeka była szeroka.

Głos zamarł jej z przerażenia w gardle. Znieruchomiała. Bezradna patrzyła, jak jeździec szuka bezpiecznego zejścia na rzekę, jak chce się przeprawić na drugi brzeg. Za nim na pewno ciągnie całe wojsko! Przyjdą do nich, będą zabijać, niszczyć, palić! Wisznia wyciągnęła przed siebie dłonie z dwoma palcami rozstawionymi w magicznym geście i zamamrotała zaklęcie, by go powstrzymać, ale jeździec widocznie znalazł jakieś zejście, bo zjeżdżał coraz niżej. Tu babskie zaklęcie nie mogło pomóc. Tu trzeba było szukać ratunku w sile znacznie potężniejszej!

– Dnieprze, co jesteś srogi i łaskawy jednocześnie! Co zgubę przynosisz i życie! Ratuj!

Potęę Dniepru widziała Wisznia już wiele razy, kiedy z wiosną wylewał tak daleko i szeroko, że ludzie musieli z całym dobytkiem chronić się na wzgórzu za palisadą z dębowych pni. Widywała go też czasem, jak płynął błękitny, raz po raz wyrzucając

nad powierzchnię potężne ramiona. Widziała go we mgle unoszącej się znad rzeki, słyszała, jak równomiernie sapie z wysiłku, płynąc pod prąd.

– Obudź się, Dnieprze! Ratuj!

Bo on zapewne spał pod warstwą lodu.

– Obudź się!

Jeździec znalazł drogę. Już koń ostrożną nogą wszedł na twardą taflę zmarzniętej wody. I wtedy ojczulek Dniepr przeciągnął się pod lodem! Głuchy huk rozległ się od brzegu do brzegu.

– Obudź się! Obudź! – Już prawie krzyczała Wisznia, a spod taflı dobiegały głuche stęknienia, dziwne grzmoty.

Dniepr szalał tam widocznie, bo lód trzeszczał pod jego naporem, jakby warczał, jakby kogoś kłął.

Przerażony koń ślizgał się po gładkiej powierzchni, cofał się w stronę brzegu, strzygąc uszyna. Obcy bódł go piętami w boki, ale nie udało mu się zmusić wierzchowca, by szedł spokojnie, kiedy pod nogami ktoś tak potężny jak ojczulek Dniepr dobijał się i groził. Tamten zawrócił. Stanął na wysokim brzegu i patrzył. Wydawało się Wiszni, że ją zauważył, więc znowu wyciągnęła przed siebie dłonie z rozstawionymi palcami i zbierała w sobie wszystkie siły, by rzucić na obcego przekleństwo. Nie skutkowało.

– Mokosz, matko moja, pomóż!

Ta zima była szczególnie trudna dla plemienia Ruy. Zwykle, kiedy nad stepem zaczynał hulać zimny wiatr, ruszali ze swoimi stadami bydła, koni, kóz, owiec na południe w stronę ciepłego morza, które tam nazywają Ponckim¹³. Toczyli nad nim wiele walk, a szczęśliwa gwiazda ich wodza, Uldina, zawsze prowadziła do zwycięstwa. Tam, na południu, gdzie ludzie mieszkali w kamiennych domostwach, wszystkiego było w bród. Napadali na taką osadę, wyrzynali mężczyzn, a kobietom kazali sobie usługiwać. Piekły dla nich placki z mąki, nalewały do czaszy wina, od którego robiło im się błogo, mięso polewały tłustą oliwą... A ile tam było owoców, jaki słodki miód! Żarli więc wszyscy i żarł Rua. Potem brali kobiety, by legnąć gdzie bądź, i niewolili je, choć darły się i broniły. Ich własne kobiety patrzyły na to z uciechą i takiej nabierały ochoty, że same domagały się swojej porcji męskiego nasienia tak usilnie i często, że Rua aż chodzić potem nie mógł od tej roboty.

Ale tej zimy było inaczej. Szczęście widać opuściło Uldina. Albo był za stary, albo naraził się czymś Bogu Wielkiego Nieba, a może jakiemuś pomniejszemu duchowi, bo kiedy najechali na upatrzoną wieś, zastali tam tak przygotowaną obronę, że nijak

¹³ Morze Ponckie – Morze Czarne.

jej było pokonać. W następnej to samo i dalej tak-koż. A na dodatek zima w tym roku zagnała się na południe dalej niż zwykle. Step, który w tamtych okolicach tylko na krótko pokrywał śnieg, tym razem leżał pod grubą białą poduchą już trzeci miesiąc. Konie im osłabły, stada przetrzebili i jeść nie było co. Siedzieli smętni w swoich czumach¹⁴. Skóry rozpięte na rusztowaniu ze zwierzęcych kości nie chroniły wystarczająco dobrze przed mroźną zawieruchą. Żadne z dzieciaków, które urodziły się na jesieni, nie przeżyło. Zaczęli umierać też starsi.

Zebrali się więc naczelnicy rodów na naradę. Stanęli kołem, łeb koński przy końskim łbie, bo prawdziwy Hun z konia schodzi niechętnie, i zaczęli radzić.

– Doleę przebłagać trzeba! Kto winien, tego wygnać! – zagaił Gainas, bo pierwszeństwo w głosie mu się należało. Był najstarszy.

Ledwie to powiedział, a wszyscy złym okiem popatrzyli na Uldina. Nikt nie miał wątpliwości, że to jego pech prześladowuje plemię, więc to on się naraził. Pogmerali w głowach, poszukali win Uldina i okazało się, że było ich wiele.

– Zeszłej zimy, kiedy byliśmy nad ciepłym morzem, nasrał w domu tego nowego boga, którego oznaczają krzyżem...

¹⁴ Czum – prymitywny szałas koczowniczych ludów Wielkiego Stepu.

– Wyjebał owcę, wywróciwszy ją na grzbiet, jakby była kobietą!

– Mało tego! Chłopaków ciągał w krzaki, a co tam robił, to łatwo wymyśleć!

I co który się odezwał, to koniem najeżdżał na Uldina, wyganiając go z kręgu. Choć Uldin próbował rękoma machać, krzykiem sprawić, by pozwolili mu się bronić przed zarzutami, to jednak dawne sposoby wymuszenia posłuchu już nie działały. Widocznie rzeczywiście naraził się jakiemuś potężnemu demonowi, który odebrał mu teraz siłę i posłuch w plemieniu. Stracił rezon, pozwolił się wygnać z kręgu rady, zawrócił konia i odjechał w step. Nikt za nim nawet nie popatrzył, nikt nie wyciągnął ręki, nikogo nie obchodziło, co się z nim stanie. Pojechał więc Uldin szukać dogodnego miejsca na śmierć. Oglądał się jeszcze raz po raz i widział, jak jego współplemieńcy skaczą sobie do oczu, jak pięściami wymachują, słyszał, jak się drą. Zwyczajnie – rada!

A oni uradzili, że pojedą na zachód, w stronę wielkiej rzeki, za którą siedzą ludzie w drewnianych czumach, ciepłych, bo zagłębionych w ziemi, i trzymają w jamach zboże, a w chałupach kozy, owce i kury. Tam się można będzie pożywić. Z każdego rodu ruszy zwiadowca, by rozeznać teren. Najdalej na północ miał pojechać Rua, syn Bazyka, bo widać było, że ma jeszcze najwięcej sił.

Tym sposobem znalazł się Rua nad brzegiem Dniepru tak daleko, że zobaczył na północy ścianę lasu, która oznaczała kres stepu. Kiedy w wilgotnym powietrzu poczuł delikatny zapach dymu, stanął, uniósł się w strzemionach i zaczął węszyć. Wreszcie zobaczył delikatną mgiełkę unoszącą się znad wąwozu zbiegającego po drugiej stronie rzeki do brzegu. Ręką przesłonił ciemne, bystre oczy, bo słońce wyiskrzało śnieg oślepiającym blaskiem. Osady nie widział, choć musiała tam być. Zjechał z wysokiego brzegu na zamarznąłą rzekę i wtedy zobaczył ją – dziewczynę. Zsunęła koromysło z ramion. Taka była wiotka i jasna. Zakutana w chustę przewiazaną w pasie wydała mu się podobna do błękitnoskrzydłej ważki, co nad strumieniem wabi swoją urodą. Jasne włosy wymykały się spod nakrycia, jasne oczy patrzyły tak, jakby niebo się w nich skryło. Nic nie umknęło bystremu wzrokowi Ruy. Widział, jak dziewczyna wyciąga do niego ręce. Miał ochotę je złapać, a ledwie o tym pomyślał, szczęście nigdy niezaznane, nieprzeczuwane nawet, ogarnęło go z taką mocą, że musiał się do niej uśmiechnąć. Taka była jak kwiat wiśni, jak wiosna, kiedy nad brzegiem Dniepru kwitnące wiśniowe gaje ciągną się aż do porohów¹⁵, a może jeszcze dalej.

Głuchy grzmot rozległ się pod kopytami konia.

¹⁵ Poprzeczne progi skalne na płtykich i szerokich odcinkach Dniepru.

„Wiosna idzie i lód już zaczyna pękać” – pomyślał chłopak. Próbował zmusić wierzchowca do wejścia dalej na lód, ale ten opierał się, więc Rua zrezygnował. Nauczył się mu ufać. Zwierzę wcześniej niż człowiek zwierzy niebezpieczeństwo, a on już wiedział, gdzie znajduje się osada, do której musi wrócić. Patrzył, jak dziewczyna łapie za swoje korymśło, jak biegnie w górę ścieżki.

„Wrócę po ciebie” – obiecał jej w duchu i odjechał do swoich.

*

Wisznia gnała co tchu. Ledwie żywa dopadła chałupy. Stała w progu i aż skuliła się pod wiecznie gniewnym wzrokiem Starego. Tym razem było jeszcze gorzej, bo gnana strachem wpadła do chaty z impetem, zamiast wsunąć się do niej po cichu. Choć bała się tego wściekłego psa najbardziej chyba na świecie, odważyła się pierwsza odezwać:

– Obcego widziałam...

Cisza.

U nich nigdy nie rozbrzmiewały zabawy, chichoty po kątach, bajania przy ogniu. Słysząc było tylko wiecznie rozjuszony głos Starego. Teraz też gniew go ścisnął za gardło.

Ta wywłoka ośmieliła się coś do niego mówić. Podniósł się z pnia stojącego koło ognia, złapał

przyczepiony do drewnianej rączki rzemień, którym pogania się woły podczas orki i wysmagać nim można któregoś z domowników. Śmignął nim Wisznię przez plecy. Skuliła się, ale nie uciekła w kąt, pochlipując jak inne kobiety. „Odmieniec! Widać jednak córka Mokoszy!” Ta świadomość rozwścieczyła Starego, bo choć nikomu, nawet przed sobą nigdy by się do tego nie przyznał, to durne plotki o Wiszni i jej matce potrafiły go rozjuszyć i jednocześnie wzbudzić obawę. Dlatego smagnął ją tylko raz. Ale ta menda dalej stała pośrodku chałupy. Wlepiała w niego przerażone ślepie i mamląła swoje:

– Obcego widziałam...

Tego było Staremu za wiele! Czaty są od robienia larma, nie ona! Kobiety pochowały się po kątach. Huśtały zalęknione i przestraszone dzieci. Synowie Starego udawali, że pilnie zajęci są swoją pracą, ale ucho nadstawiali, kątem oka zerkali. Bo szykowała się chryja! Wisznia durna była i nie potrafiła zachować się jak kobieta.

Stary puścił w ruch biczysko. Okładał ją równo i dokładnie, raz przy razie, aż się zasapał. Ona podniosła ręce do góry, by przed uderzeniami osłonić twarz. Spadały na nią rzemienie i jak węże kęsały. Kopnął ją wściekły. Padła na klepisko. Kopał w głowę, w plecy, w brzuch, aż zatrzymał się zdyszany. Wisznia ledwie wstała. Nogi się pod nią trzęsły od bicia, ale swoje skamląła:

– Obcego widziałam... Bronić się trzeba... – Powiodła wzrokiem po innych chłopach w rodzinie.

Żaden nie odważył się powiedzieć czegoś przed Starym, choć teraz ten stał zmachany i ledwie łapał oddech z wysiłku.

– Durna! – sapał. – Czaty patrzą, larmu nie podnoszą, a ona widziała! Durna! Wody nanoś!

Zamachnął się na nią jeszcze raz, ale dur go jakiś chwycił, drętwa, bo bat wypadł mu z ręki. Stary zwinął się w sobie i zacharczał. Broch, najstarszy jego syn, skoczył ku niemu i słaniającego się podprowadził do barłogu. Skulona w kącie Wisznia patrzyła na to z ukrywaniem triumfem.

– Mokosz pokarała was... – szepnęła do siebie i po raz pierwszy uwierzyła, że naprawdę jest jej córką.

– Nie wzywaj jej imienia nadaremno! – Słowa Wiszni usłyszała stara Jaga, która jak zwykle siedziała w swoim kącie izby i przędła, cicho pobrzękując przęślikami. – Jeszcze przyjdą na nas gorsze dni, wtedy jej wsparcie może być potrzebne. Gdzie widziałas tego obcego?

Wisznia przysiadła u stóp cioty. To było jej miejsce w chałupie. Tylko Jaga brała ją czasem w obrotę. Z babskiego kąta odgradzonego od reszty izby przesłoną ze starych skór wylazły kobiety: żony i córki Starego oraz żony i córki jego dwóch synów, Brocha i Niebora. Stały dokoła barłogu i po raz

pierwszy chyba w życiu odważyły się spojrzeć na Starego. Ten leżał z gębą wykrzywioną w dziwnym grymasie i charczał coraz ciszej. A im ciszej charczał, tym głośniejsze one między sobą pogadywały.

– Jaga, spojrzysz ty tu! – przywołał Broch. Przy-mykał małe, blisko siebie osadzone oczy, by ukryć nadzieję na rychłe spełnienie marzeń o władzy nad rodem.

Ciota wstała z trudem i podeszła do Starego, wlokąc za sobą niesprawną nogę. Było z nim nie-dobrze. Sobie tylko znanymi sposobami dopatrzyła się, że wiele już mu pomóc nie może. Gęsta siwa broda nie zdołała skryć wykrzywionych ust, jednym wytrzeszczonym okiem nieruchomo spoglądał na powałę, a drugie z przerażeniem szukało ratunku po ludziach zgromadzonych wokół. Bełkotał coś, ale zrozumieć się go nie dało.

– Maku mu zgotuję. Sen mu da.

– Zdrow będzie? – spytał Niebór. Sam nie wie-dział, czy lepiej żyć pod twardą ręką Starego, czy pod władzą Brocha, który tylko swojej korzyści pa-trzył. Niepewność wyzierała z jego wyrazistych, choć odrobinę gapiowatych oczu i przymilnie uśmiecha-jącej się gęby.

– We śnie dojdzie do zdrowia albo do śmierci – Jaga wzruszyła ramionami. Stary był jej swakiem¹⁶, ale nienawidziła go jak psa. Za dużo krzywd było

¹⁶ Swak – mąż siostry.

między nimi. Mimo to zakrzętnęła się koło ognia, powiesiła nad nim kociołek z wodą i wysypała reszkę maku. Szkoda jej było takiej dobroci dla Starego.

„Resztę dam dzieciakom...”

Postanowiła uraczyć go skąpo. Zresztą miała nadzieję, że drętwa nie pozwoli mu łykać.

– Ja naprawdę widziałam obcego... – Wisznia zakręciła się koło niej z chęcią pomocy, jakby było w czym.

– To ślady tam powinny po nim być...

– Pewnie, że powinny. Są!

– To trzeba je pokazać komuś.

– Komu?

Jaga udała, że się zastanawia, choć dobrze wiedziała, kto powinien je zobaczyć.

– Kowalowi!

Wiszni mocniej zabiło serce. Tak! Ona już pójdzie do kowala!

– Razem pójdziemy – zatrzymała ją Jaga.

Kowal miał swoją numę na skraju wsi. Pod zadaszonym wejściem do niej wiecznie palił się ogień, a jakiś chłopak dmuchał weń miechem zrobionym z króliczych skórek. Wiecznie też stał tam kowal Wilk, chłopisko już niemłode a potężne, i walił w kowadło wielkim młotem, wykuwając a to okucie do radła, a to nóż albo półokrągły sierp przydatny w polu i w walce lub topór czy obręczę ściskające klepki w drewnianych kubłach. Iskry leciały, woda

z sykiem parowała, kiedy on albo któryś z kowalczyków zanurzali w drewnianej kadzi rozpalone do czerwoności żelazo.

Wisznia w wolnych chwilach lubiła patrzeć na jego robotę. Czary to były istne, bo kowal potrafił z niekształtnej żelaznej grudki wydobytej z dymarki wytworzyć rzecz nie tylko przydatną, ale i piękną. W żelazie była moc i tajemnica, a on ją posiadał. Mądry był chłop, ale małomówny. Kiedy jednak się odezwał, najstarsi słuchali go uważnie.

– Ważną sprawę mamy do ciebie, Wilku – powiedziała Jaga, kiedy znalazły się na progu kuźni.

Wisznia zawsze się dziwiła, że ten burkliwy człowiek, który najsilniejszym w osadzie mężczyznom potrafił pokazać swoje zniecierpliwienie, kiedy nachodzili go w jakichś swoich interesach, dla Jagi zawsze miał czas i życzliwą uwagę. Teraz też odłożył młot, ręce wytarł w zasmoluchany niemożebnie fartuch i doprowadził je do grubej kłody drewna ułożonej pod ścianą numy tak, by można było na niej wygodnie usiąść.

– Mów – rozkazał, a Jaga opowiedziała o przygodzie Wiszni.

– Tak było – wyrwała się zupełnie niepotrzebnie dziewczyna, zaglądając do kuźni. Miała nadzieję, że zobaczy młodego Wysza, syna kowala.

– Wierzysz jej, to i ja wierzę – powiedział Wilk, zupełnie nie zwracając uwagi na Wisznię. – Trzeba

wysłać kogoś rozgarniętego śladem tego obcego. Wysz pójdzie.

– Pójdę z nim – znowu wyrwała się Wisznia, ale kowal spojrział na nią tak ciężkim wzrokiem, że skuliła się tylko, rozumiejąc, że pomysł mu się nie spodobał.

– Wysz!

Chłopak stanął na progu kuźni, a Wiszni serce się ku niemu wyrwało, bo był wysoki, gibki i śmiał się najradośniej spośród wszystkich mieszkańców wsi.

– Pójdiesz za rzekę nie dalej niż na cztery strzelania z łuku, rozejrzysz się, czy obcy był sam. Ostrożny bądź! Wracaj szybko! – rozkazał ojciec.

Zanim Wysz zbiegł ścieżką w wąwozie nad brzeg rzeki, zajrzał do chaty Starego. Dzieńcia, jego najmłodsza córka, wyszła do chłopaka, a jego oczy rozjaśniły się w uśmiechu.

– Idę za rzekę – powiedział i z zadowoleniem patrzył, jak jej słodka twarzyczka ścina się strachem. – Muszę wysledzić obcego. Mogę nie wrócić... – Powiedział to tonem przechwałki, bo i prawdą było, że dumny był z tego ojcowskiego polecenia. Ale najbardziej go ciekawiło, jak dziewczyna zareaguje na tę groźbę. Dzieńcia była mu bliska. Nie zawiódł się. Cicha, łagodna i potulna dziewczyna złożyła ręce na podołku w geście żałości, a na długich rękach zadrżała łza.

– Może choć buziaka na pożegnanie dostanę?

Schowali się za węglem domu. Słodko im było. Nie bez powodu na nią wołali Dzieńta tak jak na plaster miodu.

Ledwie Wysz ruszył, kowal podążył do stojącego na szczycie skarpy ostroga. Już on da tym huncwotom, którzy trzymali straż! Obcego przegapić! Szedł szybko, lekko podpierając się wielką drewnianą lagą. Jaga nie miała szans za nim nadążyć, a Wisznia nie chciała zostawiać ciotki samej. I tak dowiedzą się, co się stało ze strażą. Nie uszły daleko, kiedy zobaczyły uciekającą w podskokach głupią Ciecierę, co chętnie wszystkim pokazywała, co ma między nogami. Sprawa stała się jasna. To tak się wartownicy zabawiali! Gdzie tam im stróża w głowie!